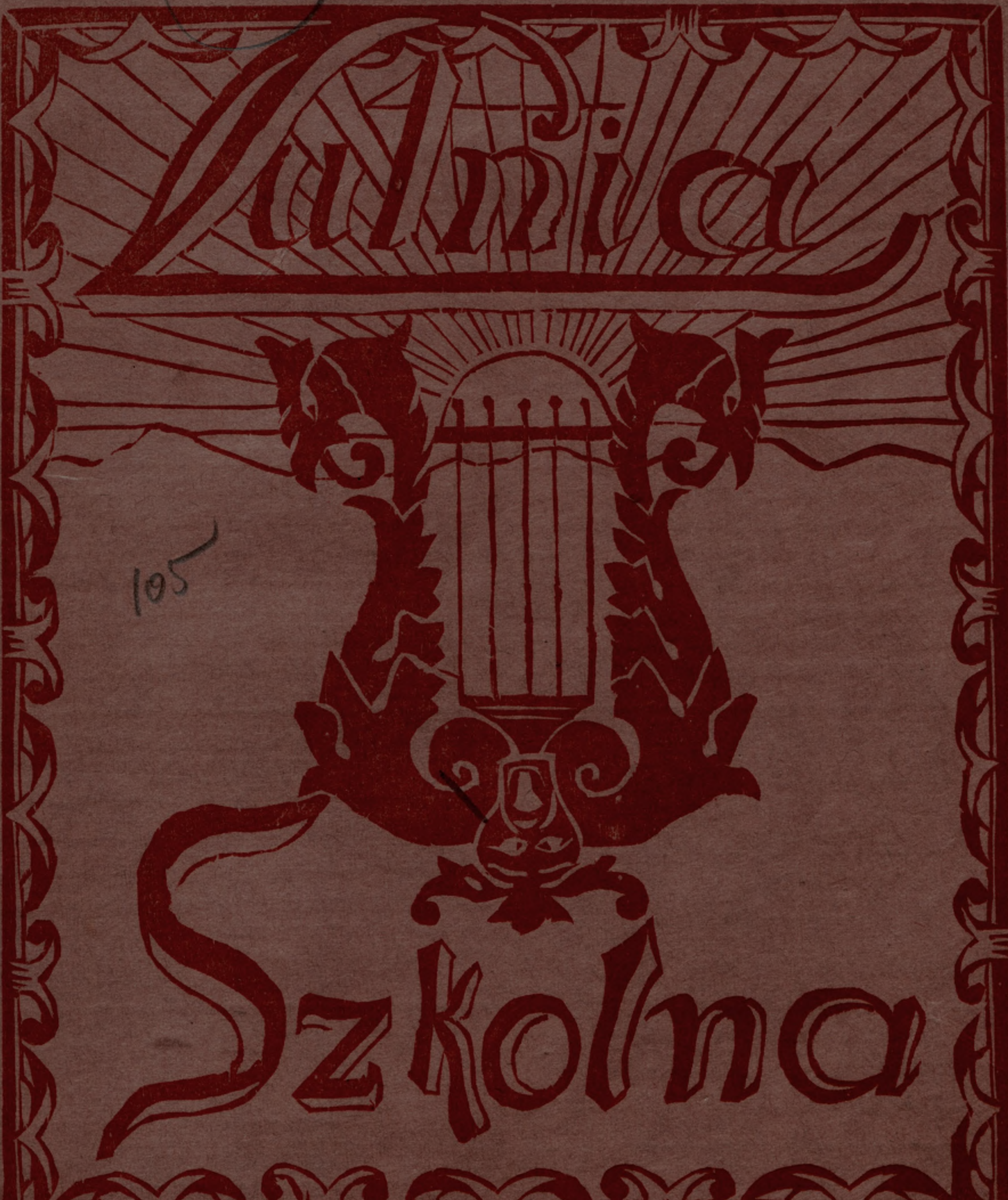
ROK 1926. Nr. 1.



ILUSTROWANE CZASOPISMO LITERACKO-ARTYSTYCZNE

WADOWICE.

Nr. 1. ROK 1926.

LUTNIA SZKOLNA

CZASOPISMO LITERACKO-NAUKOWO-ARTYSTYCZNE, SPORTOWE I FOTOGRAFICZNE

MŁODZIEŻY GIMNAZJUM PAŃSTW. IM. M. WADOWITY W WADOWICACH

POD PROTEKTORATEM DYREKTORA GIMN. H. GAWORA
I POD KIEROWNICTWEM LITERACKIEM PROF. K. KROBICKIEGO
ORAZ ARTYSTYCZNEM PROF. L. JACHA, ART. MAL.

DO MŁODZIEŻY.

Wydawnictwo gazety gimnazjalnej pod tytułem „Lutnia szkolna“ ma na celu rozbudzenie młodocianych talentów, które dotychczas w ramach zakładu nie mogły wypowiedzieć się należycie. Stworzenie ośrodka kulturalnego młodzieży czekało już dawno na swą realizację. Dopiero obecnie dzięki inicjatywie Dyrekcji tut. Gimnazjum dajemy młodzieży własne jej pismo, które będzie rodzajem trybuny, skupiającej młode siły literackie, co w jakimkolwiek kierunku pragną dojść do głosu.

„Lutnia“ ta bowiem obejmie kilka działów. Najsilniej reprezentowany dział literacki pozwoli wypowiedzieć się w zakresie prozy (nowele, sylwetki, impresje) i poezji (wiersze, krótsze poematy). Wskazane są i przekłady krótszych utworów z obcych języków — w szacie prozaicznej i poetycznej.

W ramach krytyki literackiej zjawią się oceny powieści, poezji, sztuk teatralnych i rzeczy naukowych.

Dział naukowy prócz krytyki uwzględni naukę o literaturze pięknej, historję, fizykę, sztukę, kulturę, przyrodoznawstwo, technikę etc. Może znaleźć miejsce i folklor w zakresie baśni, wierzeń i gwary ludowej lokalnej w formie nowelek lub studjów. Odpowiednie referaty, wygłoszone na kółkach samokształceniowych lub porankach i wieczorkach, pojawią się tu również. Obfity materjał można znaleźć w wycieczkach przyrodniczych, historycznych, turystycznych, lub wrażeniach z wakacyjnych przeżyć na tle przyrody. Znajdą tu także umieszczenie i ciekawsze fragmenty zadań polskich szkolnych i domowych.

Życie sportowe młodzieży odzwierciedli osobny dział sportowy. Wiadomości bieżące poda osobna kroniczka na końcu numeru.

Możnaby nawet i w polityce zabierać głos, jakkolwiek jedynie w kwestjach ogólno-państwowych, jako rzeczowa informacja o życiu narodu i narodów i zapoznanie się z aktualnemi tematami. Wszelkie partyjnictwo i rozpolitykowanie jest niedopuszczalne.

W anonsach można ogłaszać poszukiwane lub znalezione książki, przyjęcie lekcyj, kupno i sprzedaż różnych przedmiotów etc.

W przyszłości będzie rozpisany konkurs na najlepszą nowelkę lub wiersz, z odpowiedniemi nagrodami książkowemi.

Kierownik artystyczny zaznajomi młodzież z nowemi zdobyczami w zakresie fotografji i sztuk graficznych sposobem ręcznym, oraz sposobem fotochemigrafji.

Dbając o formę artystyczną, wydawnictwo ozdobi każdy numer drzeworytami uczniów w tekście i na osobnych wkładkach, winietami i inicjałami. W dziale drzeworytów również ogłosi się konkursy.

Kto tylko więc czuje się na siłach, niech stanie do apelu, okaże życie i werwę, stworzy placówkę wzajemnej wymiany myśli. Bez fałszywego wstydu i nieśmiałości wydobyć swój talent z ukrycia i złożyć go na wspólnym ołtarzu. „Hej! Ramię do ramienia“!

Rzecz naturalna, że nie można do utworów młodzieńczych przykładać miary tak wysokiej, jak do utworów ludzi dojrzałych. Talenty są dopiero w rozwoju, a niedociągnięcie artystyczne jest czasem konieczne. Gazeta młodzieży powinna właśnie obejmować wszystkie etapy rozwoju uczniów: od dziecinnych prób naszych najmłodszych, w którychto poczynaniach tkwi już jakaś iskra, do poważniejszych literackich i naukowych wypracowań tych młodzieńców, co zakład wkrótce opuszczą. Tylko nie zrażać się odrzuceniem niektórych utworów, pracować nad sobą, a wskazówek udzieli się zawsze!

Wymienione powyżej działy może jednak nie wyczerpują wszystkich zagadnień, jakie młodzież pragnęłaby poruszyć. Nie należy się więc krępować, przeciwnie, wszelka nowość w obiorze tematu i doborze treści jest nawet bardzo pożądana. Idąc przeto z prądem i postępem czasu, można więc zmieniać i fizjognomję „Lutni“, a samo życie poda najlepiej wskazówki i kierunek. Wiele więc możliwości przed wami otwiera się.

Rękopisy **o ile możności wyraźne i czytelne**, mają być pisane tylko po jednej stronie arkusza lub kartki, a strona odwrotna karty ma zostać niezapisana.

Przy każdym utworze będzie podane nazwisko autora, a w nawiasie cyfrą rzymską klasa.

Materjał już teraz jest tak obfity, że musi być rozdzielony na kilka numerów. Stąd niektóre działy są na razie mało uwzględnione.

Przypuszczać należy już teraz, sądząc po zainteresowaniu się „Lutnią“, że pismo to spełni swoje zadanie, tj. będzie prawdziwą lutnią, na której młodzież wygra swą pieśń zapału, poruszając jej wszystkie struny w zgodny akord.

Od was więc jedynie zależy życie i rozwój wydawnictwa, które powinno być punktem waszej ambicji i dumy!

Dyrektor:
H. Gawor.

Kierownik artystyczny:
Prof. L. Jach, art. mal.

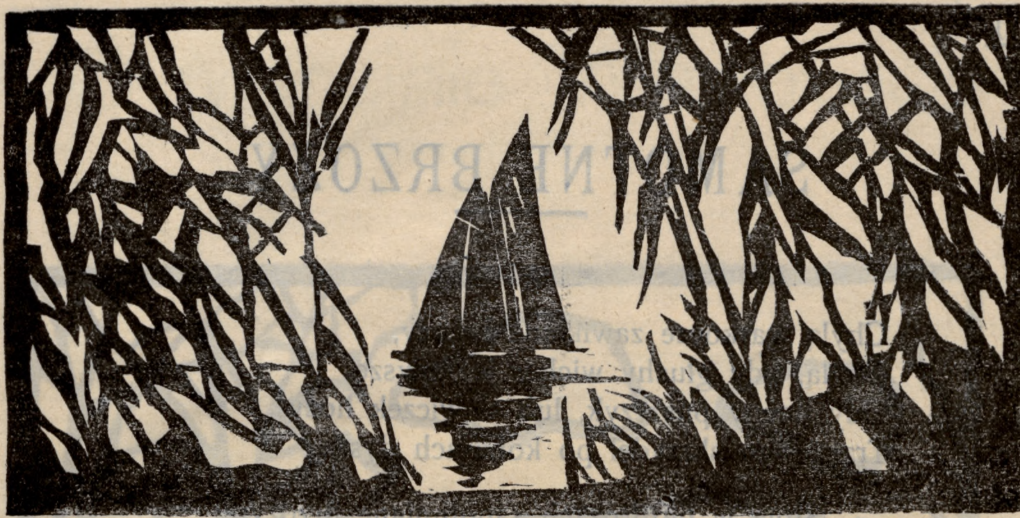
Kierownik literacki:
Prof. K. Krobicki.



DRZEWORYT. K. MALCZYK (V).



DRZEWORYT. K. MALCZYK (V).



DRZEWORYT. W. CZUPRYŃSKI (V).

M. ŁYSZCZARZ (VII).

DO KOLEGÓW.

Z dniem dzisiejszym zaczyna wychodzić w naszym budynku szkolnym miesięcznik literacko-artystyczny i sportowy pod nazwą „Lutnia szkolna“. Sama już nazwa pisma wskazuje nam wniosły cel. Możemy być dumni z niego, bo pismo to jest pierwsze na tak wysoką skalę w naszem gimnazjum. Wychodziło wprawdzie poprzednio jedno pisemko, lecz nie długo, bo od r. 1912-13. Pisemko to jednak było raczej dzienniczkiem humorystycznym. Może to ciężkie czasy wojenne siłą kontrastu wywołały w nas potrzebę niefrasobliwego humoru? Nie wiem! Obecnie nasi czcigodni opiekunowie, to znaczy Panowie Profesorowie wraz z głównym inicjatorem, naprawdę niezwykłym pod każdym względem naszym kochanym Panem Dyrektorem, obmyślili nam nowe lekarstwo celem obudzenia naszego życia. Było ono bowiem dotychczas w letargicznym śnie pogrążone, jakkolwiek już przeszło siedem lat świeci nam zorza wolności! Opiekunowie nasi chcą, jak widać, otworzyć oczy nasze i dać wszystkim wychowankom pole do popisu i próby na przyszłość. Czyn ten jest wyrazem ich ufności w nasze siły.

Okażmy się więc godnymi tego zaufania! Z chwilą tą więc otwiera się dla nas możność popisu na niwie literatury, sztuki, artyzmu i w zakresie idei odrodzenia fizycznego społeczeństwa! Dziś rozlewa się po całym świecie fala haseł fizycznego zdrowia i tężyzny, jako odruch teraźniejszej epoki przeciwko dziełu zniszczenia, dokonanemu nawszystkich polach przez wojnę. Nie można więc dziś zagadnień sportowych pomijać milczeniem.

Sądzę, że grono czcigodnych naszych Panów Profesorów nie zawiedzie się w nadziejach co do naszych miłośników literatury, sztuki, estetyki, nauki i sportu. Należy nam wytężyć wszystkie siły, by w piśmie tem znalazły się najczystsze perły, wydobyte z głębi młodzieńczych serc i umysłów. Koledzy! Nie usuwajcie się od tej mrówczej pracy nad kształtowaniem waszych pozornie uśpionych talentów! Trzeba błyszczącej pochodni, któraby talent z mroków ciemności, ze snu twardego wyprowadziła na świat, a wówczas rozbłyśnie on może potężnem światłem i sam stanie się gwiazdą przewodnią, wskazującą innym drogę! Natura z pewnością zamknęła w duszach wielu z was talenty, którym już rosną skrzydła do lotu! Wiary tylko we własne siły i nieco odwagi, a nie pożałujecie!

Niechże ta „Lutnia“ wielostrunna wszystkie w nas struny twórczości poruszy, byśmy wyśpiewali hymn poezji i nauce, niechże będzie owem czarodziejskiego królewicza zaklęciem, które uroczą królewnę z długiego uśpienia zbudziło!

J SAWCZAK (IV).

SAMOTNE BRZOZY.

Chylą warkocze zawikłane brzozy,
Chylą, gdy głuchy wicher je kołysze,
Gdy nocny puszczyk, lub słowiczek hoży
Trzepotem skrzydeł po konarach dysze.

Stoją w bezdrożach zapomniane brzozy,
Smutne i ciche, a do smug warkoczy
Wabią ptaszynę, gdy w obłokach krąży,
I śmiało pędzi, jak wichr w świat uroczy.

Czasem w ich cieniach podróżnik usiędzie,
Czasem pastuszek przed upałem słońca
Szuka ochłody. Potem głucho wszędzie
Pusto i sennie, spokojnie do końca.

Takie samotne, o sieroty świata!
O! czemu o was ciężki los zawadził?
Poco i naco wiatr wami pomiata?
Komu rośniecie i kto was zasadził?



DRZEWORYT. S. PODGÓRCZYK (IV).



DRZEWORYT. K. MALCZYK (V).

K. MRZYGŁÓD (VI).

O Marcinie Wadowicie

Patronie Zakładu

słów kilka.

Jakkolwiek samo miasto Wadowice cieszy się w krakowskiej okolicy zasłużoną popularnością, choćby tylko jako cudowny zakątek podgórski w dolinie Skawy, mało kto jednak zastanawia się nad jego historją, a wybitniejsi ludzie tego grodu zginęli prawie zupełnie w pomroku dziejów.

Dziś jednak należy nam odświeżyć pamięć jednego z najznakomitszych synów tej ziemi, o którego istnieniu wprawdzie nieco może wiadomo, życie jego jednak jest prawie nieznane, a parę krążących o nim szczegółów w formie anegdotycznej nie zastąpi faktów z jego żywota.

Sprawa oświetlenia tej postaci stała się dziś bardziej aktualna, ponieważ od początku bieżącego roku szkolnego ma Gimnazjum nasze tego znakomitego męża jako swego patrona.

Wypada więc zapytać: cóżto za postać wybitna, jakie było jej życie i czyny?

Tych kilka słów niech więc doraźnie zastąpi wyczerpującą biografję.

Marcin Wadowita sam się nazywał „Campius Vadovius“. Ujrzał on światło dzienne w r. 1540 w lesistej okolicy Wadowickiej. Urodzeniem na one czasy nie mógł się chlubić, ponieważ przyszedł na świat w chacie wiejskiej. Od najmłodszych lat wdał się młodzieniec w zapasy z Trudem i Pracą, otrzymując od nich tylko bardzo skromny chleb codzienny. Jako syn wieśniaka, musiał mały Marcinek pasać świnie swemu panu. Razu pewnego, gdy mu wilk porwał świnię, w obawie przed karą uciekł w lasy. Po długiej tułaczce po borze dostał się szczęśliwie do Krakowa. Tu jako żak musiał biegać z garnuszkiem po ulicach miasta, aby zdobyć nieco ciepłej strawy. Ponieważ pauperski garnuszek zapewniał mu utrzymanie, z wielkiem więc zamiłowaniem oddawał się nauce. Teraz gdy mu Bóg pozwolił dosyta czerpać wiedzę z samej krynicy mądrości, zaczął piąć się po coraz wyższych szczeblach. Nic więc dziwnego, że dzięki pilności i pracy już w r. 1570 został magistrem sztuki i doktorem filozofji w Akademji Jagiellońskiej, następnie profesorem św. teologji, a po habilitacji otrzymał zaszczytny tytuł doktora tejże wiedzy. Od proboszcza św. Florjana na Kleparzu i plebana w Opatowcu, doszedł do berła Akademji Jagiellońskiej. Otóż tu widzimy, jak szczęście sprzyja człowiekowi. Nie narzekał pewnie Wadowita na ów feralny dzień przygody z wilkiem i spowodowanej tem ucieczki! Będąc kanclerzem w zastępstwie biskupa, po raz pierwszy wdział togę bramowaną, a profesorzy i uczniowie, którzy przedtem z pogardą patrzyli na niego, jako syna chłopa, oddali mu cześć, jako swemu zwierzchnikowi. Wtedy podobno on ujął ręką swą togę i rzekł:

„dziękuję ci aksamicie,
kłaniają się Wadowicie“.

Odpowiedź ta stała się przysłowiową. Sam przypominając sobie pastusze lata, mówił o sobie: „Si non iste porcus, non fuisse Vadovita doctus“. (Gdyby nie ów wieprz, nie byłby Wadowita uczonym). Jakie miał wzięcie u ludzi, dość wspomnieć jeden przykład. W r. 1598 wychowankowie Akademji Jag. podburzeni przez Jezuitów przeciw Ewangielikom, zmówili się na ich zagładę i zbrojni napadli na Fausta Socyna, staruszka, wyciągnęli go z łóżka, przykryli płaszczem i przewlekli przez rynek na miejsce błotne. Tam spalili jego rękopisy, pracę całych lat i wszystkie książki. Jego miał taki sam los spotkać, jeśli nie odwoła swych błędów. Aby zaś starca przerazić, wlekli go do Wisły. Wtedy to wystąpił Wadowita i gorącemi słowami uspokoił umysły chłopców, Socyna zaś uchronił od śmierci i przyjął go do swego mieszkania. Takie wystąpienie w obronie pogwałconego dowodzi wielkiej wyrozumiałości i tolerancji przekonań religijnych. Sława jego cnót napełniała cały kraj. Stolica św. Piotra trzy razy oglądała Wadowitę. Tam podziwiano jego wszechstronne wykształcenie, naśmiewano się zaś z jego wrzaskliwego głosu. Papież Systus V określił Wadowitę w ten sposób: „Eruditio angelica, vox diabolica et mores rusticales. (Wiedza anielska, głos djabelski a obyczaje chłopskie).

Lat 50 pracował Wadowita jako przewodnik umysłów, jaśniał w kościele i głośny był w Polsce swemi zapisami na cele kościelne i ubogich studentów. Zakończył swój pracowity żywot dnia 28 stycznia 1614, mając 74 lat. Po jego zgonie smutek rozpostarł swe skrzydła nad Krakowem. Na pogrzeb wyległy wielkie tłumy ludu, aby oddać ostatni hołd zmarłemu. W kościele św. Florjana uczczono jego pamięć nagrobkiem, dziś nieistniejącym. Literatura posiada około 10 tomów jego prac, m. i. najważniejsze: „Questio de Christi merili“, „Questio de divina voluntate“, „Poema in funere Joannis Cloboix“, etc. W Wadowicach wybudował mąż ten szpital i szkołę. On to rozsławił szeroko ziemię Wadowicką, a jego imię powinno być wymawiane z czcią przez tutejsze pokolenia...



DRZEWORYT. W. URBAN (V).

K. FORYŚ (VII).

GIEWONT

(W ŚWIETLE NOCY).

Spi Giewont gazda halny, w mgieł posłaniu miękkiem, —
Otuliły go drżące błyski księżycowe;
Dołem w srebrze oparów cienie regli płowe
Dyszą strumyków skargą, dziwnie brzmiącym jękiem.

Śpi cicho rycerz skalny... Księżyc blasków pękiem
Pieściwie głaszcze jego w granit skutą głowę.
A on — przyjmuje hymny lasów, zna ich mowę,
I potoków srebrzysty szmer — co poi dźwiękiem...

Hej! — przebiec głębię regli, kosodrzewu sploty,
Przepaści ciemne wnętrza, dzikich skał wywroty
I dotrzeć tam — gdzie ranek budzi promień złoty!

Hej! gdzieś w upłazie skalnym giewontowej twarzy
Usiąść i objąć okiem część uśpionej plaży
Świata i słuchać baśni, jaką myśl wymarzy...

Zakopane, sierpień 1925 r.



DRZEWORYT. S. PODGÓRCZYK (IV).



Z. ŻUREK (VII).

Opowiadania Pawła Szymczaka.

Ach! Te cudowne wieczory! Gdy cisza w letnim, upalnym mroku jest tak wielka, że słyszałbyś, jak w trawach bzykają świerszcze, jak chrabąszcz majowy pełza po liściach kasztana, jak brzozy płaczące szepcą wieczorne pacierze, jak cicha modlitwa natury płynie w roziskrzone niebiosa! W dali szemrze rzeka, a z nadwodnych gąszczy dolatuje słodki, miłosny tryl słowiczy. Zda się, jesteśmy w baśniowej krainie marzeń, w dziedzinie wyśnionych zamków na szklanych górach i uroczych snów młodzieńczych!

W takie to wiosenne lub letnie wieczory schodziliśmy się u Pawła „Symcoka".

Pawłowa dusza odczuwała bardzo silnie ten uroczysty stan przyrody. W duszy tej budziła się rozśpiewana nuta, raz wesoła, jak taniec mazura, to zaś smutna i tęskliwa, jak łkanie zawiedzionej w miłości dziewoi. Paweł Szymczak był rosły, że strzelał w niebo jak topola, szczupły, z rozczochraną lnianą czupryną, a na twarzy jego malował się uśmiech, który nawet w smutku go nie opuszczał. Dla Szymczaka istniało tylko „dziś", o „jutro" nie pytał. Żył też tylko jak mówiono — żartami. Czasem przymierał głodem, lecz nie przyznawał się do tego nikomu, a nawet w takich chwilach patrzał weselej, jakby chciał mówić: patrzcie! ja jednak nie dam się głodowi! A lubił opowiadać i miło go było słuchać. Bo też miał wielki dar narracyjny, i tak ciągnął, że opowiadanie jego przybierało charakter niemal epicki. Nie zawsze jednak, jak rzekłem, był wesół. Były dni, kiedy dziwnie smutnie ku niebu spoglądał, to znów żałośliwem okiem wodził po świecie, jakby go miał rzucić, a żal mu z nim się rozstać. W takich chwilach niechętnie opowiadał. Lecz gdy się dał namówić, wylewał swą duszę z jękiem rozpaczliwej udręki. Siadał wówczas przed chałupą na pniaku i patrzał przed siebie, lub też jakby szukając natchnienia, zatapiał wzrok w tych gęstwinach zielonych, z których jak dźwięki harfy eolskiej płynęły tony ptaszyny. Liście starej lipy radośnie szemrały, gdy nastroił bardon na dzwięk radosny, a smutno, gdy z ust płynęły słowa tęskliwe, jak głos fujary pastuszej.

Lubił nas, jakkolwiek nie dawał tego poznać. Cieszył się, gdyśmy przychodzili, bo jakże nie opowiadać tym, co go z zajęciem słuchają! Ale nie długo dane mu było radować się nami. Pewnej wiosny, już jakoś po świętym Józefie, kiedy bociany przyleciały i kra spłynęła rzeką, poszedł na moczarzyska, bo lubił ogromnie patrzeć na gromady błotnych, hałasujących ptaków. Brodził tam długo, bo dzień był prześliczny, a ptactwa zleciała się chmara niezmierna. Ptaki igrały wesoło i to go tak zajęło, że nie zauważył, jak rdzawa woda z moczarzyska przeciekała przez jego dziurawe kierpce i nie poczuł, że zimno poczęło mu chodzić po kościach. Gdy się ocknął, począł odczuwać jakąś dziwną słabość w całem ciele. Wracał do wsi. A wiatr wył żałośnie nad jego gołą głową, dął w jego kędzierzawą czuprynę, robiąc z niej mierzwę i pieścił ją, jak matka pieści dziecię, bo czuł, że już nie długo żyć Pawłowi na tym świecie! Słońce zasłoniło się chmurą smutku, bo nie mogło patrzeć, jak śmierć wyciąga ze wszystkich stron chciwe ramiona, by go zagarnąć. Ziemia tylko cieszyła się, że jednego więcej syna przytuli do swego matczynego łona. A on szedł przygnębiony, lecz głowę wyniośle trzymał. Widział śmierć, lecz nie chciał dać się jej zmóc. We wsi zaległ u bogatych, na roli siedzących gospodarzy i z łoża nie podźwignął się więcej. Odwiedzaliśmy go podczas choroby, a on prawił nam tylko o Bogu, o pokucie za grzechy i prosił, byśmy modlili się za jego duszę. Pocieszaliśmy go, że jeszcze będzie zdrów jak ryba, że nam jeszcze nieraz będzie sławił czyny ukochanego bohatera Wojtka. Nie dał się pocieszyć. W dwa tygodnie od owego przemarznięcia odszedł od nas na zawsze. A gdy konał, to wszystkie drzewa, które jego pieśni słuchały, zapłakały w dźwięczne struny. Wiatr dmuchał i niósł melodje tęskne nad łoże pieśniarza, którego słowiki i skowronki boże uczyły śpiewać. Kochał w życiu pieśń i lubił jej słuchać, gdy rozniosła się nad wioskami i mieszała się z rykiem wracającego z pól bydła. Lubił opowiadać, bo to było jego pokarmem duchowym.

Opowiadania pieśniarza nie zginęły. Na grobie jego rośnie młoda wierzba płacząca. Czasem tam przychodzi pasterz, który z tej wierzby wyciął fujarę, siada w cieniu i zaczyna piosenkę. A nuty zwolna przechodzą w opowiadanie długie, gawędziarskie, jak zwyczajnie Pawłowe.

Jednej z tych facecyj wiejskich posłuchajmy.

Dlaczego Wojtek Kozioł nie lubił Żydów?

— Tra ra, tra ra! — rozlega się głos fujary.

— Cóż nam dziś opowiecie Pawle?

— A cózbyście kcieli, śmiysne co, cy wesołe?

— Wiecie Pawle, dzień dziś był tak wesoły i pogodny, a wieczór, jak widzicie, też niczego, więc nie wypada zamącać tej radości natury. To już lepiej coś wesołego opowiedzcie! — Młode listeczki na lipie poruszyły się, jakby prosiły Pawła, by coś „śmiysnego" opowiadał. A on zda się jakby popatrzył najpierw w gęstwiny, te zamki słowicze, jak był zwykł czynić, a wreszcie rzecze:

— Znaliście ktory Wojtka Kozła, co mu sie to dwa lata tomu zmarło, jakoś kiele Zielonyk Świotek?

— Słyszeliśmy coś nie coś o nim. Podobno mu życie na figlach zeszło?

— A ności ta jest coś w tom prowdy, ale jo wiom ło tom nojlepsi, boć to przecio moj znajomek łod kieluska. Wesoły był, nikiej psiak młody, kiedy sie go z łańcuska spuści, chocioz ta pedali, ze go robok gryz i ze go w karcmak zalywał, aze go zaloł. Zmarło sie biydokowi i posed do Pietrapawła.

— No a dlaczegóż wspominacie o nim?

— A bo kciołek wom łopedzieć ło tom roboku, co go tak gryz i skod un sie zrodził.

— A to opowiedzcie, opowiedzcie, słuchamy.

— Bo musicie ano wiedzieć, ze Wojtek to był nie bele jaki parobek. Co prowda, to ta jony[1]) jedne portki mioł i jedno kosulo na plecak — jak sie to godo i chaupino malućko, nikiej łopołka[2]) do siyjby, a w kieśniak mu jony wiater dmuchoł, ale chłop był śniego sielny i parob łognisty. Na muzyki chodzowoł, z dziywkami tońcył, a une mu rade były, bo to i piykny był, ze drugigo takigo sukoj. Ale unomu ta jakoś zodno w łoko nie lazła, a byłaby mu sie baba przydała, bo mu juz do trzydziestki jony miesioc i dwa tydnie brakowało, a faupie[3]) ni mioł kto gazdować, bo un to sie juz dokszty na robocie babskij nie znoł. Robił ta casom u łorganiścinej przy młocce, przy kośbie i una pedziała, coby sie żynił z Kaśkom Łozorkównom.

— Bogate to ta nie jes — pado — a śwarne ta tez nie bardzo i pono ji dwok ziober po lewej stronie brakuje i zobów u góry całkiom nimo, ale to lepi, bo bedzie mało jodała, to ta i prodzyj ka jakigo grosa zrobicie. Ale zato jes robotno dzieucha i mocarno jak koń, a kie piościom w stół grzmotnie, to aze deski pokajom.

— Ale unomu sie ta nie śpiesyło do takiej dziywki.

— Bóg wom zapłać — pado — łorganiścino — za rajynie, ale se jom ta sowojcie lo wasego Franka, co do skół chodzi i skolnik[4]) śniego nielada. — Łorganiścino ta zaroz łodcuła ironijo, więc tez rozezarła sie, bo ji chłopoka sponiywiyroł, a una go na ksiodza kciała wykierować. Skocyła tez do Wojtka z pazurami, jak suka, dobrze ze sie cofnął.

— A ty ponku jedon zatracony! Jo mu ze serca radzo, a un mi z Frankiom wyjyzdzo. Wara ci łod niego! Z Franka mojigo bedzie ksiondz i tela. A ty nie wybiyroj miodzy dziouchami, bo ci sie lepso nie trafi, boś dziod. Nimos ka — z przeprosoniom —.... a na gospodarskie córki bedzies gowo[5]) podnosił.

Zgniywoł sie nikiej pieron, ze go dziadom nazwała, więc jak mioł w goszci[6]) cepy, tak nimi prasnął ji pod nogi i wypod jak łogier ze stajnie. Zdaleka jony zawołoł: Pockoj staro klempo, bo ci Franek ładny podarek na wiesno przyniesie, ze go zaroz ksiodzom zrobiom! Tak unomu do ksiondza, jak mnie do biskupa. — Łod tego casu — padom wom — wpod Wojtek w zadumo. Smuciło go, ze go nazwała łorganiścino dziadom. Teraz sobie przybocył[7]), ze un biydny, a do tego samotny, jak kopa na polu kiele świotego Idziego. Ale nie tracił fantazyje, ze to był ano chłop niefrasobliwy. Zaś we wsi nic se nie robili z łorganiścinego godanio i jedna kumoska septała przed drugom w sekrecie takim tajemnicom, ze az na drugi dziyń cało wieś ło tom wiedziała:

— Dy ta niek jony Wojtek pośle, to dostanie mojo Julisio, dwa tysioce, jałowecko na łocieloniu, cielo po kwiatuli, kacko, kuro i goś[8]).

— Mój godoł, ze Wojtek chłopok robotny, ze śniego bedzie porzomny chłop i gazda sielny i niek jony przepije, to mu Maryno do zaroz, a śniom to, co sie w tom roku na polu urodzi, zeby mieli com posioć pola, bo mu gotowy i trzy morgi puścić, a jo sie ta juz ło wiano[9]) dzieuchy porzomne wystarom.

Tak to we wsi godali w chaupak, ka mieli córki na wydaniu.

To tez Wojtek zdumnioł. Myśli se:

Ej kie mnie ta tak kcom, to jo nie bele kto. Ności, ze nie lada parobek somnie[10]). Łorganiścino mnie ta dziadom nazywo, ale cóz mi sie ta smucić. Dyć to ta pomietło, ze ani do wymiatanio komina niezdatne. Ale jo to ci ano muso być świarny chłop! A swojom drogom na morgi sie ta tez chycić nie dom. Lo mnie to sie juz cheba dziedzicka patrzy. A bo tez piykno jucha, jak ton łobroz Matki Boski gromnicnej w kościele, we wielgim łontorzu. A jakie mo włosy! He, niek sie Magda mynorzowo[11]) schowo, chocioz warkocami miyrzwo młóci. A jako una zgrabno! Ani mój Burek tak zgrabnie nie goni, jak panienka goniła z panicem za jakomsik kulkom, co jom podbijo takim przetackiom — pedajom, ze to z baranik kisek zrobione — jak kijonkom dzieuchy pierom kosule. A takie miała biołe buciki jak mlyko po Cornuli. Ale cyby mie jony kciała?... Cóz-by mie nie kciała? Cyk to nie chłop, co mie cało wieś kce z co nojpiyrsymi dzieuchami żynić?

Tak se Wojtek myśloł i rósł w dumo. Zacon tez z góry patrzeć na dzieuchy. Roz posed do karcmy, do Icka, bo wośnie[12]) odbywało się tam sielne weselisko. Tańcowoł ano, aze sie syby w łoknak trzosły, a pannice to rosły z radości, kiej na drozdzak, ze to z piyrsom we wsi parobkiom tańcujom. A Szymonowa po cichu godała do Wickowej, ale tak, ze Wojtek słysoł: — Cie go, ale jucha zgrabno i świarno![13]) Ej! zeby nie mój chłop, posłabyk śnim do tańca!

Ale un sie jony uśmiychoł i tańcył. A potom pił u Icka na borg[14]). A kie juz mioł trosko w cubie, pocon drwić z dziewcyn:

Ej, przy wielkimeście honorze, bo Wojtek swami tańcuje!

Ha! Wojtek to parob, co kicho na wos, bo un pójdzie po dziedzicko. Dobreście lo Wojtka na suzocc,[15]) abo piastonki, co je to po miastak trzymajom

u pana dziedzica, ale nie na moje żony!

Zaćmiła mu sie gowa, a w karcmie powstoł rumot: Wojtek nazywo nase córki piastonkami i kce je mieć za suzoce. Tego mu ni mozno darować.

Siaki taki pluł juz w gorzć, zeby mu mordo łostrzaskać, ale sie boł trosko, bo Wojtek był chłop morowy, silny, a w ramiyniak syroki na skłod.[16]) Wojtek był juz rozłoscony mocno, to ta i wystopił na środek i przypił do staryk bob:

Na mej starej nic nie straco, nic nie straco,
Bo jom sprzedom, kupio klaco, kupio klaco,
Potom z klacy skóro złupio, skóro złupio,
Młodo dziywko sobie kupio, sobie kupio *)

Ale wszyscy sie juz rozchodzili, bo co zapalońsi kcieli bitki, a baby straśnie sie boły tej charabutki[17]) i ciogły chłopów do chaupy.

Wojtek zasio lyg[18]) spać u zyda, łobzarty jak maciura, a ton zapisoł piynć razy wiocy, niz Wojtek wypił. Zapisywoł juz tak łod roku. Pono juz ta tam wiela narosło Ickowi i Wojtek mioł sie juz z chaupy wyprowodzać. Rano zbudził sie blady, bo go w nocy wypicie mocyło[19]) i pyto Icka, co sie stało.

— Ny panie Wojtek, wyszcze zrobicz wczora wielkie glupstwo. Wyszcze potrziebowali powiedżieć, że wy niechcieć żadna panna ze wsiu, że wy sze bedżiecie żynić z ta ode dwór. Cała gromada sie wos wiparła. — Wojtek se myśli:

A moze ta tak jesce źle nima — bo co prowda to był pewny, ze mu to wieś zapomni. Dyć przecio po pijanomu godoł. Ale wieś nie myślała przebocać. Stronili łod niego wszyścy, więc tez siedział faupie i gryz sie, zaś wiecorami pił na umór skrony tego lankoru, u Icka, a Icek się bogacił. A ludziska sie śmioli śniego:

— Dzis, mos dziadygo! Nie kciołeś moji Marysi, to sie żyń z dziedzickom! Juz sie cie pono ni moze docekać. O, my ci juz córek nie domy, o niy!

Smutny sed Wojtek, kie sie ło tom dowiedzioł i ponury, jak bóbr, wychodzocy ze swoji budy i luto mu sie zrobiło pod sercom, ze to tak wszyścy sie łod niego łodwrócili. Posuwoł sie miedzom ku swoji chaupie, co to niedalecko biyliła sie na syrokiej zieleni, jak montel biały na rozrosłej głowie kapusty. A po prawej stronie łan żyta kfioł mu sie do kolan, party wiatrom, jak Maciek kłanio się ksiodzowi jegumościowi, kie go gospodyni wyślom po rozporzodzonia gospodarskie polne. A z drugi strony zieloniła sie zesłorocno kojcona, co sie ciogła, jak zielono rzyka, aze pod Wojtkowo budo. Gwarzyły se ta casom te dwa łany ze sobom dżiwy niestworzone, jako i teraz:

— Dzis, Wojtek dzisioj nie u siebie, bo mo łokropecnie nos pokrocony — pado żyto.

— Ności, ze cośta śnim nie w porzodku, bo lezie zasopiony[20]) jak krowa do ślaktuza[21]) — rzekła kojcona[22]).

A Wojtek suchoł tej godaniny i dziwowoł sie, ze to niby dwie rośliny, a tak se poradzują, jak dwie gaździne.

Kaśta w gorze prawie wrona leciała i darła sie, jakby jom ktoś ze skóry łobdziyroł, a Wojtek se myśli:

— Cie jom pokrako, woło: mos! mos! mos! Ano drzyj sie ta, kie kces. Modroś teroz, bo wiesna, to ta mos pełno w brzuchu, ale w zimie to ci mina zrzednie. Nie bedzies miała casu sie śmioć, jak ci bedzie głód po kiskach śpacerowoł, ze przy kojskij kupce siednies i zawołos: kołoc![23]) kołoc! kołoc! Teroz toś ta modro[24]). Niegze ta, niek!

I posed Wojtek do chaupy, ale ni mog zapomnieć ło tom, co go drocyło.

— Trzeba bedzie iś w świat! myśli se.

Ale mu ciosko było łopuscać wiosko. Dyć un jom tak kochoł! Takie mu były miłe te ugory, pełne srokatego bydła, a gwarne spiywaniom pastyrzy, ciymne dymami łognisk, które uni polili, piekąc zimnioki. Zol mu było tej pochnocej ziymicy, kie jo pug[25]), ciongniony przez konie łorze, a wrony za nim chodzom i pędroki zjodajom. Zol mu było syrokik stajań, złotyk łod pszonicy i śrybnyk łod żyta i tego smrekowego lasu, co sie na widnokrogu miynił fijoletami, kie go zachodzoce słojce łobrzucało tysiocami błysków i tego strumyka, co se ta wesoło pod lasom chlupkoł w raźnyk skokak po kaminiak, nikiej zmija przysuwo sie do upatrzonej mysy, by ji cios śmiertelny zadać...

Mioł krowo, cornulo, co mu jom jesce nieboska matka kozali pilnować, jak łoka w gowie i jom tez mioł rzucić? A Burek? Nośći ta Burek — by sed śnim w świat, ale coby mu doł jeś, kadyz-by go podzioł? Pudzie do miasta, do dymu i ulicnego smrodu, bedzie robił jak wół w jarzmie, nic porzomnego nie uzyje, zdrowie zezre, a potom... co? Niy, ni móg iś! Tu w samej rzecy ni mioł co robić, bo gospodorze łodwrócili sie łod niego, a na swojim puł — morga cóz mioł pocoć? A tu jesce Icek strasył, ze napite duzo, ze trzeba bedzie dać chaupo i to puł — morga, a moze jesce matusino cornulo. O tej — by mu nie doł. A cózby matuś pedzieli, jakby sie dowiedzieli?

— Toś tak synku sanował matconego rozkazu, toś to takie dziecko, to niepilomu[26]) i do tego parchowi dawoł bedzies krowo, twojo żywicielko?

Takby pedzieli matuś. Niy, nie pójdzie! Przeciyrpi wszystko, zniesie, ale z łojcowizny sie nie rusy. Zaś-by ta djabli, zeby cowiek nie wytrzymoł! Wytrzymo.

Un przecio niekcocy zgrzysył wobec wsi, a wieś mu nie kciała przebocyć. Oj, twarde som w nij prawa, twarde! Ale sie przemog i zostoł. Wrócił mu nawet downy humor, bo ta frasobliwy nie był.

Roz mu Icek pado:

— Panie Wojczechu, co wy sze mocze smutkować? Wy sze wypijcze jednego, a jo wom coszik doradżicz.

Wojtek wypił, bo mu już wszystko jedno było, a Icek pado tak:

*) Piosnka ludowa autentyczna.

— Wicze, panie Wojcziechu, wy sze muszicze ożenicz. Ny, bo czemu wy sze ni mocze miecz babe? Wyszcze fajn, git chlop. Ale wy sze ni muszycze żynicz w tej wsiu. Jo wom naradzicz pikne dziouche. Una mo i piniondze i pól i bachory do roboty, ze sze już nie muszicze staracz, kto bedżie robiuł, a miyszka w niedalekiej wsiu. Wy sze go ożenicze i sprawicze go u mnie wesele, że stary jeszcze zatańcowacz na nim.

— Wojtek se myśli: Nie źle-by to moze było. Jak bedo mioł babo, to sie moze i wieś ku mnie łobróci, a jak niy, to im chocios pokozom, ze jejik jałówek nie potrzebujo.

— Zgoda — pado — Icku, bedzies mi swatom.

Za trzy niedziele tańcowoł juz Wojtek w karcmie ze swojom babom.

Prowda, ze ksiondz probosc, jak sie dowiedzioł, ze zyd faktorom, nie bardzo ta kcioł dać ślubu i ze ta do tego pono słysoł, co ta miała być herod-baba ta Wojtkowa zona. Ale go ta ciotka Wojtka uprosili, ze doł ślub, a nawet łobiecoł przyś na wesele, ale nie przysed, bo go kolka w boku spiyrała, ze mu musiała gospodyni kszon[27]) tucony na niego przykładać.

Ześli sie tez do karcmy somsiedzi, ale wiocyj z ciekawości, jak ta Wojtkowo wyglodajom.

Wprowadził se tez Wojtek babo — djabła, sekutnico, staro, ze ji juz na śterdziestko sło, i dziecek miała bezma[28]) piyńć. Z pocotku mu ta doś potlybiała,[29]) ale fnet sie ta kaś ło coś pozarli, bezma ło to, ze poźno wstała i łozbiła mu gliniany gornek na gowie, ze krów nie wydojił za nio. Śmioli sie ta z tego ludzie, ale byli po stronie Wojtka. A Wojtek zrozumioł, jak go Icek dostoł. Zarobił kupo piniodzów na weselisku i śmioł sie, ze tako zoporo piekielno Wojtkowi narajił. A dostoł łod nij za to coś sto złotyk, jak ta ludzie ka nieka powiadali, bo sie ji pono koniecnie wydać kciało, a nik jo brać nie kcioł. (Nośći ta Wojtek-by jo był tez nie broł, ale mu ludzie tak dopolili, ze wiocy ze złości sie żynił, niźli z jamorów do baby. Bo ktoby sie ta w śterdziestoletni krowie jamorowoł?) Zawrzoł tez Wojtek gniywom na Icka, a złoś ta przesła na całe pokolynie żydowskie. Bo ta i pedają, ze chłop nigdy z zydom w zgodzie żył nie bedzie. Tak tez i tu było. Kieś ta Wojtek przysed do karcmy zły, bo sie wośnie z babom pokłócił. Wsiod łodrazu na żyda, ale zydowi nogle zrodziła sie walecność i łostro przeciwko Wojtkowi wystopił. Wojtka wziony wszystkie pasyje i polnoł zyda w mordo, aze zyd wpod pod somkwas[30]). Narobił gwołtu i zaroz do sodu. Musioł Wojtek siedzieć tydziyń za zyda w hareście, a zyd sie śmioł, ze dostoł chłopa. Tako to była historyja Wojtkowa. Robok, to jes baba, juz go nie prodko łopuścił, a na zydów był zły łod tego casu, jak rolnik na kreta, co mu kupki na młodom życie usypie.



DRZEWORYT. K. MALCZYK (V).

UWAGA. Gwara, w jakiej to opowiadanie jest napisane, pochodzi z okolic Andrychowa. O ile jest jakaś różnica między gwarą jednej wsi a gwarą drugiej, to tylko w akcencie. Aby gwarę tę oddać pismem, przy zachowaniu fonetyki, napotyka się na wielkie trudności. Wobec tego gwara może być tylko w przybliżeniu oddana. Gwara okolic Andrychowa posiada w swem brzmieniu samogłoskę, podobną do otwartego „o", lecz jakby stłumionego w gardle, które też nadzwyczaj trudno oddać w piśmie. N. p. w wyrazach: Zielonyk **Świotek**, wiom, skod, jony itp., trudno jest, a nawet niepodobna oddać oznaczonego tłustym drukiem „o", które tak charakterystycznie lud na wsi wymawia. Celem uniknięcia zarzutów co do zbyt częstego używania słów: ta, tez, dy — wyjaśniam, że słów tych używają na wsi w każdem niemal zdaniu, a wyrazy te służą do wzmocnienia wypowiadanego zdania. — Nawiasowo dodam, że utworem tym otwieram cykl ludowych opowiadań i że opowiadanie to nie jest jakąś podsłuchaną gawędą ludową, tylko oryginalne. Sama postać Pawła Szymczaka jest fikcyjna.

Objaśnienia. 1) jony — tylko. 2) łopołka — opałka, koszyk do siania zboża. 3) faupie — w chałupie. 4) skolnik — uczeń. 5) gowo — głowę. 6) goszci — garści. 7) przybocył — przypomniał. 8) goś — gęś. 9) wiano — posag. 10) somnie — zemnie. 11) mynorz — młynarz. 12) wośnie — właśnie. 13) świarny — przystojny. 14) na borg — na kredyt. 15) suzoce — służące. 16) skłod — skład, tak nazywają na wsi szeroki zagon, posiany zbożem. 17) charatutka — bójka karczemna. 18) lyg — legł. 19) mocyło — męczyło. 20) zascpiony — zasępiony. 21) ślaktuz — rzeźnia. 22) kojcona — koniczyna. 23) kołoc — kołacz, okrągły placek ze serem. 24) modro — mądra. 25) pug — pług. 26) niepilI — obcy. 27) kszon — kszan. 28) bezma — m. w. zdaje się. 29) potlybiać — podchlebiać. 30) somkwas — szynkwas, lada w karczmie.



DRZEWORYT. W. TATAR (V).



DRZEWORYT. ST. PIECYK (V).

B. HICZKIEWICZÓWNA (III).

WIOSNA POLSKA.

Przez polskie łany i wioski
Idzie królewna w koronie,
A wiatr rozwiewa jej włoski,
A słońce rozjaśnia jej skronie.

W zielonej sukni i w kwiatach cała,
Ma wieniec z lilij na głowie,
Bieluchną rączką znak dała,
A ptaków zleciało mrowie.

Potem królewna swym ślicznym głosem
Zbudziła robaczki śpiące,
A potem jeszcze musnęła włosem,
A kwiaty zakwitły na łące.

Gdy cała praca skończona,
Powoli królewna odchodzi,
Aż wreszcie zaśnie zmęczona, —
A brat jej, „lato" przychodzi.

K. MRZYGŁÓD (VI).

Madonna w malarstwie Odrodzenia.



DRZEWORYT. K. MALCZYK (V).

Opierając badania na studjach, poświęconych Najświętszej Pannie z Dzieciątkiem Jezus na ręku, możnaby odtworzyć całą historję malarstwa, a przynajmniej wieków średnich i Odrodzenia. Oto cała linja rozwojowa: Od nieudolnych prób najwcześniejszego niemowlęctwa sztuki chrześcijańskiej, od sztywnych obrazów bizantyńskich, w których więcej złoceń i kosztownych ozdób, niż szczerego uczucia — do pełnych miłości i wiary kreacyj z epoki Odrodzenia. Dziewica z Dzieciątkiem to najgłówniejszy przedmiot natchnienia wszystkich szkół malarskich w Europie. W zaraniu swego żywota przechodziły obrazy z Marją ciężkie chwile. Najsroższym ciosem były zamachy obrazoburcze ortodoksów.

Pomimo że niedowiarstwo tak silnie nastawało, aby zniszczyć wszystkie obrazy, jednak przepojeni duchem religijnym chrześcijanie ukrywali obrazy Matki Boskiej. Największym kultem otaczano obrazy „Pani Smętnej". Ta zbolała twarz Boska dodawała wszystkim otuchy, lgnęli do niej nieszczęśliwi w tym czasie chrześcijanie, a ta Matka Bolesna pokrzepiała ich na duchu, tak, że z czołem pogodnem szli walczyć w imię wiary.

W XIV. wieku owiał ludzkość ożywczy prąd humanizmu, duch wolnej myśli, umiłowanie życia i natury. Następstwem tegoż było zjawienie się słynnego w dziejach sztuki „quintocento", kiedy pod włoskiem niebem rozpalała się sława Rafaela, Michała Anioła, A. del Sarto, na dzikiej zaś północy płonęły glorją nazwiska Van Dycka, Memlinga i Holbeina. Doskonała kompozycja znamionuje artystów Odrodzenia. Święci łączą się poufale w grupy; cechuje ich spotęgowana siła uczucia, piękność i szlachetna postawa. Najbezpośredniej zaznacza to w swych obrazach Wenecjanin Giovanni Bellini. Madonny jego mają wyniosłość dziewicy i matki. Mimo to obrazy przypominają jeszcze gotyk, w twardem nieco załamiu draperji. Współcześnie w Padwie wykwita nowy talent, który jeszcze dalej posuwa sztukę: to Andrea Mantegna, twórca wielkiego dzieła: „Madonna Zwycięstwa". Blask posępny opromienia zda się beztroską, a już tragiczną



DRZEWORYT. K. MALCZYK (V).



postać boskiego Dzieciątka. Andrea d'Angolo (nazwany del Sarto) Florentyńczyk, lubuje się w kompozycjach zwartych, urozmaiconych lekkimi kontrastami. Postaciom nadaje kształty pełne, ubiory idealne i malowniczo udrapowane. Odzwierciedla on świat zewnętrzny w całym blasku piękna i siły. Obraz jego „Madonna i św. Franciszek" odznacza się szczerością form i poczuciem zmysłu artystycznego. Ze szkoły umbryjskiej wychodzi w tym czasie Perugino. Najulubieńszym tematem dla niego było przelanie na płótno momentów z życia Matki Boskiej. Madonny tego artysty łączą w sobie ziemską słodycz z jakimś nadziemskim mistycznym wyrazem. W północnych zaś Włoszech tworzy zupełnie samodzielnie Antonio Corregio „Zaślubiny św. Katarzyny". Umie on unieść się w przedstawieniu radości życia aż do stanów uduchowienia i świętości. Nietylko we Włoszech kult Matki B. napełnia umysły artystów, lecz także może się poszczycić szkoła flamandzka arcydziełem, malowanem przez Van Dyck'a, twórcę „Matki Boskiej z kanclerzem Rollinem". Z tej samej szkoły wyszedł wspaniały tryptyk Memlinga: „Rodzina Glifforda u stóp N. Panny". W szkole niemieckiej świeci prawdziwy brylant, „Madonna Meyera", dzieło Hansa Holbeina. Lecz wszystkich tych artystów zaćmiewa sława dwóch tytanów Odrodzenia włoskiego: Michała Anioła i Raffaela Santi. Nieśmiertelną sławą cieszy się obraz „Matki Boskiej Sykstyńskiej" Raffaela. Matka Boska na obrazach tych artystów jaśnieje słodyczą i pięknością. Otaczający Ją Święci są ludzcy, dobrzy, łaskawi, Dzieciątko Jezus wesołe, uśmiechnięte, wyciąga rączki do Aniołków i bawi się z nimi swobodnie. Nie jest to już Bogarodzica gotycka, mały Jezus drobny i nieforemny nie błogosławi ludzkości poważnym gestem mędrca. Przeciwnie! Święci mistrzów Odrodzenia zdają się zapewniać, że życie jest dobre, świat piękny, a Bóg litościwy. Zrozumiano, że wszystko jest stworzone do życia, że przepotężny twór Boży zasługuje na zachwyt. Renasans wyzwala ducha z oków ciemnoty. Pierzchają mroki groźnej, ponurej tajemniczości katedr gotyckich, natomiast w jasnych blaskach słońca wznoszą się dłonie z ufnością i nadzieją do Madonny, pełnej wdzięku, boskości i miłości macierzyńskiej, wielkiej pośredniczki i protektorki u Boga.



DRZEWORYT. W. URBAN (V).



DRZEWORYT. K. MALCZYK (V).

J. RAPACZ (VI).

KWIATY.

Rozkwitły już na wiosnę piękne, wonne kwiaty,
Co pysznią się szat barwą i wdziękiem motyla.
Szemrze gwarem ten bukiet kosztowny, bogaty,
A woń rozkoszna — kwietne kielichy rozchyla.

Wietrzyk igra swobodnie, jak owad skrzydlaty,
Głaszcze rozwarte płatki i wonie rozpyla.
Do wtóru szemrze strumyk, rwąc w nieznane światy,
A na dźwięk polnych świerszczy budzi się Żywilla.

O ambrozyjskie wonie! O ogrodzie złoty!
Kwiaty, słodyczy pełne, gnące z wiatrem czoła!
Wy mi świat otwieracie przedziwnej tęsknoty,
Świat czarodziejskich baśni, co nas wiecznie woła!



DRZEWORYT. WŁ. ŁOJEK (V).



DRZEWORYT. A. PĘKALA (IV).





DRZEWORYT. K. MALCZYK (V).

Z MŁODZIEŃCZYCH IMPRESYJ.

A. ROMAŃSKI (III).

Krajobraz Neapolitański.

Błyszczące morze, w którem odbijają się szczyty gór, pokryte zielenią, wraz z czynnym wulkanem Wezuwjuszem, to krajobraz Neapolitański. Pod tropikalnem słońcem rozwija się przepiękna roślinność.

Jeszcze piękniejszy jest widok wieczorem, kiedy krwawe słońce chowa się za góry, a od gór tych padają cienie, które ogarniają zda się cały świat... Morze błyszczy, a w załomach fal odbijają się krwawe ogniki. Na okrętach zapalają się światła białe, czerwone, zielone, doskonale harmonizujące z nastrojem. Palmy stoją nieruchome, poważne, jak statuy Cezarów rzymskich, jak strażnicy minionego państwa rzymskiego, minionej kultury!..

Noc... księżyc wypływa z za chmur. Rosa błyszczy jak djamenty, rozrzucone na trawie — a Neapol spi... Czasem z drzew wyleci sowa lub inny drapieżnik nocny, kracząc głucho... Czasem zagwiżdże pociąg, lub rozbrzmi syrena odjeżdżającego okrętu. Zresztą cisza...

A palmy jak stały tak stoją i czekają w uśpieniu na chwilę, kiedy ruiny Palatynu i innych świątyń dawnego Rzymu podniosą się, kiedy powróci dawna kultura, a z nią i potęga państwa rzymskiego...



DRZEWORYT. W. ŁOJEK (V).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

STYCZEŃ.

Rocznicę powstania styczniowego uczcili uczniowie wieczorkiem, który odbył się uroczyście (17/I.) w Sokole. Na program złożyło się: słowo wstępne kolegi Widlarza z kl. VI w dojrzałej formie ujęte, deklamacje i sztuka p. t. „Pod Miechowem". Urządzeniem wieczorku zajęła się klasa VI B.

Ku uczczeniu ś. p. Żeromskiego urządziła Czytelnia Uczniów uroczysty poranek w Sokole. Program objął: Bardzo sumienny i rzeczowy odczyt o autorze „Przedwiośnia" kol. Ostrowskiej z kl. VIII.*), deklamacje i kilka recytacyj z „Popiołów", „Dumy o hetmanie" i „Syzyfowych prac".

Z życia Kółek uczniowskich:

CZYTELNIĘ UCZNIÓW otwierano we wtorki i soboty od 2-giej aż do zmroku, bo dalszy pobyt uniemożliwiał brak światła. — Członkowie korzystali z kilku prenumerowanych przez Czyt. pism, szachów, oraz z bibljoteki. Rownież Bibljoteka Uczniów Gimnazjalnych prosperowała dobrze.

KOŁO POLONISTÓW Kl. VIII. zbierało się dwa razy w tygodniu na referaty, jednak bez dopuszczenia klas innych. Posiedzenia te noszą charakter przedmaturyczny.

*) Odczyt ten ma być umieszczony w następnym numerze.

W KÓŁKU FOTOGRAFICZNEM pracowano mniej intensywnie niż w lecie, ponieważ ciemnia fotograficzna nie posiada pieca. Ożywienie nastąpi z wiosną.

W doskonale zorganizowanem KÓŁKU SPORTOWEM wrzała praca. Krótkotrwały śnieg tegoroczny pozwolił na odbycie zaledwie kilku wycieczek narciarskich, które prowadził p. prof. Panczakiewicz. Pod jego fachowem kierownictwem odbywały się także lekcje dla początkujących narciarzy. Kółku Sport. oddano również w zarząd staw w bursie, na którym starano się urządzić tor łyżwiarski. Uczniowie korzystali również ze ślizgawki w Sokole. *(F. R. S.).*

* * *

N. B. Kroniczka tut. zakładu z dalszych miesięcy ukaże się w następnych numerach.

Najbliższy numer uwzględni i dział sportowy, gdyż z braku miejsca przeniesiono niektóre artykuły do dalszych zeszytów. Ponadto umieści się w następnym numerze z działu grafiki sposobem fotochemigrafji druk kreskowy, siatkowy i trójbarwną reprodukcję.

BREWJARZYK FOTOGRAFICZNY I FOTO-CHEMIGRAFICZNY.

I. ŚWIATŁO CIEMNI
(PODŁUG W. WOŁCZYŃSKIEGO).

Brunatny, gładki papier pakunkowy, zanurzony w tłustym oleju lnianym, a następnie złożony we dwoje i przymocowany na szybie, nie przepuszcza aktynicznego światła, nie drażni oka i daje ciemni jasność.

II. SZTUCZNE MATÓWKI.

Niewyświetloną, utrwaloną i dobrze wypłókaną, zwykłą płytę żelatynową moczy się najpierw w rozczynie chlorku baru dowolnie rozcieńczonym, a następnie bez płókania wkłada się do czarki z rozcieńczonym kwasem siarkowym, gdzie lekko kołysana, tworzy na powłoce żelatynowej osad siarczku baru. Delikatność otrzymanego w ten sposób ziarna, przewyższa o wiele zwykłe matówki.

III. SPAJANIE PĘKNIĘTYCH NEGATYWÓW.

Brzegi pęknięcia płyty powleka się krzemianem potasu (wodnem szkłem), rozcieńczonym poprzednio pół na pół z wodą, a kładąc rozbite części negatywu na szklannej płycie, odpowiadającej jego rozmiarowi, spaja się razem wszystkie brzegi pęknięcia, przyciska i suszy przez jeden dzień. Następnie krawędzie spojonego w ten sposób negatywu, skleja się gumowanym papierem z brzegami tej samej wielkości.

IV. OCZYSZCZENIE WODY DO TECHNICZNO-FOTOGRAFICZNYCH CELÓW.

Fotograf na prowincji, mający do dyspozycji nieczystą i twardą wodę, może ją w następujący sposób oczyścić:

nadmanganian potasu	1 część
siarczan glinu	10 części
kaolina	30 części

100—200 g. tej mieszaniny dać na 15—20 l. wody i odstawić w celu wyklarowania. Chcąc uzyskać dobrą wodę destylowaną, dodaje się do wyklarowanej już w powyższy sposób wody cokolwiek rozczynu azotanu srebra, a przez wystawienie jej we flaszce na działanie promieni słonecznych, wkrótce chłorek srebra wraz z organicznemi nieczystościami osiędzie na dnie flaszki.

Do oczyszczania wody wapiennej przygotowuje się w równych częściach proszek, złożony z bezwodnego węglanu sodu i wodorotlenku wapna. Po zmieszaniu wsypuje się na 10 l. wody jedną łyżeczkę proszku i pozostawia celem wyklarowania.

Dział literacki i artystyczny w całości wykonany przez uczniów. — Okładka dłóta K. Malczyka ucz. kl. V. Tłoczono i graficznie wykonano w drukarni Foltina w Wadowicach.

WYDAWCA: GIMNAZJUM PAŃSTW. IM. M. WADOWITY W WADOWICACH. ODPOWIEDZIALNY KIEROWNIK PROF. K. KROBICKI.